

# Tobera, Marek

---

## "Z balkonu na bruk" (Adolf Nowaczyński)

---

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/3-4, 109-116

---

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MAREK TOBERA

„Z BALKONU NA BRUK”  
(ADOLF NOWACZYŃSKI)

Przepustka do nieśmiertelności jest marzeniem bodaj każdego twórcy. Nadzieję na ziszczenie tego marzenia potęguje uznanie współczesnych. Adolf Nowaczyński wierzył, że *non omnis moriar*. Skromnością nie grzeszył, chwalił się, iż pierwszy wpadł na pomysł zaproszenia Stanisława Przybyszewskiego do Krakowa, iż „odkrył” Gdynię. Wymieniał swoje nazwisko w jednym zdaniu, jednym tchem z nazwiskami Żeromskiego, Wyspiańskiego, Reymonta. Nie była to wyłącznie megalomania, współczesna mu encyklopedia nazywała go „wybitnym pisarzem dramatycznym”. Dzisiejsze repertuary teatralne, a także opinie historyków literatury tezy tej raczej nie potwierdzają, np. Julian Krzyżanowski określił jego twórczość jako niezbyt szczęśliwy przykład symbiozy pracy literackiej i dziennikarskiej; choć spotykamy również oceny bardziej pozytywne (Maria Czernerle, Artur Hutnikiewicz).

Stanisław Cat-Mackiewicz nazwał dramaty Nowaczyńskiego „teatrem kukiełek”, ich autor pozostał dlań mistrzem żurnalistyki i pamfletu. Cat miał rację: Nowaczyński to przede wszystkim publicysta, choć zostało po nim także kilkadziesiąt dramatów, zbiorów satyr i szkiców krytycznoliterackich. Wskrzesał paszkwil, wypracował własny dziennikarski styl, zadziwiający dynamiką i agresywnością. Był obecny przy każdym ważniejszym wydarzeniu politycznym międzywojennej Polski, został też bohaterem wielu skandali, często świadomie przezeń sprowokowanych. Jego artykuły w prasie endeckiej miały swój ciężar gatunkowy, kształtowały poglądy, wywoływały burze, przeciwników zmuszały do kontrakcji. „Słowa jego zawsze miały swój ton – napisze o Nowaczyńskim Jan Zadeykański – zawsze budziły rezonans, gdyż odpowiadały współczesnym, lub przeciwnie, drażniły ich. Nigdy nie były mdłe. I dlatego historyk rozważający tę epokę nie może o nim zapomnieć”.

Adolf Nowaczyński urodził się 9 stycznia 1876 r. w Podgórzu pod Krakowem. Jego *curriculum vitae* to kalejdoskop nagłych zwrotów i skandali. Debiutował w Krakowie – w mieście, któremu ubliżał przez całe życie, do czego nie zniechęciła go nawet... nagroda literacka tegoż Krakowa. Rozpoczął dorosłe życie jako niedoszły prawnik (przerwał studia na Uniwersytecie Jagiellońskim), młodopolski cygan, społeczny radykał zbuntowany przeciw filisterstwu i własnym rodzicom, lecz wkrótce również przeciw świącie

Przybyszewskiego i romantycznej tradycji. Współpracował m.in. z „Życiem” i „Krytyką”; w 1903 r. redagował „Liberum veto”, czasopismo poświęcone satyrze politycznej, literackiej i artystycznej, grupujące plejadę talentów Młodej Polski, jeden z najciekawszych tego typu periodyków w dziejach naszej prasy. Po przeprowadzce do Warszawy (1904) pisał do uważanego za organ radykalnej inteligencji „Głosu”, publikował m.in. w „Kurierze Warszawskim” i krakowskiej „Nowej Reformie”. Rozgłos przyniosły mu sztuki teatralne, przede wszystkim *Car Samozwaniec* (1908) i *Wielki Fryderyk* (1909), dzięki nim zdobył laury czołowego dramaturga swoich czasów.

W przeciwieństwie do Przybyszewskiego głosił Nowaczyński służebność literatury wobec życia społecznego, atakował historyzm Sienkiewicza, powoływał się na Hugona Kołłątaję, Stanisława Staszica i Aleksandra Świętochowskiego. Zbliżyło go to do pozycji Stanisława Brzozowskiego, Karola Irzykowskiego, Tadeusza Boya Żeleńskiego, wraz z którymi Kazimierz Wyka uznał Nowaczyńskiego za jednego z najważniejszych antagonistów Młodej Polski.

W latach I wojny światowej wybrnął Nowaczyński z wielu opresji (uniknął deportacji do Rosji, dzięki przebraniu w mundur legionisty – wcielenia do armii austriackiej, a także egzekucji ośmiomiesięcznego wyroku za dezercję). W warszawskiej prasie legalnej i nielegalnej zwalczał aktywizm i niemiecką okupację. Zdecydowana wrogość wobec orientacji na państwa centralne (dał jej wyraz również w satyrycznej „Szopce warszawskiej” z 1916 r.), rachuby na Ententę, szczególnie sentyment do Francji przygotowały akces Nowaczyńskiego do pracy endeckiej, gdy „wybuchła” polska niepodległość. Wkroczył w dwudziestolecie z nie małym dorobkiem, znany i ceniony jako poważny dramaturg, ekscentryczny krytyk, zajadły polemista. Jak później oświadczył, zszedł wówczas „z balkonu literatury na bruk prasy”. Choć twórczości dramatycznej nie zaniechał, pochłonęła go przede wszystkim publicystyka polityczna, wyróżniająca się stylem personalnego najczęściej ataku, felietonową formą filipiki i donosu. W najohydniejszym tonie pisał o Żydach, o piłsudczykach. Lecz przyjaźnił się również z wieloma osobami „niearyjskiego pochodzenia”, ze zwolennikami Marszałka. W prasie chwalił obce totalitaryzmy, w dramacie *Cezar i człowiek* pokazał triumf uczonego nad despotą, wolnego ducha nad faszyzmem.

II wojna światowa zaskoczyła Nowaczyńskiego na kresach, skąd po wielu perypetiach (z aresztu został zwolniony ponoć dzięki protekcji żydowskich studentów!) dotarł do Warszawy. Tu organizował akcję pomocy materialnej dla kolegów po piórze, podkreślał swój filosemityzm, nie były mu obojętne losy getta. W 1942 r. gestapo aresztowało go na kilka tygodni, w czasie przesłuchań został dotkliwie pobity. Zmarł w Warszawie 3 lipca 1944 r.

Nowaczyński sprawiał tyleż kłopotu wrogom co przyjaciółom, był nieobliczalny w pomysłach, w reakcjach – niepoohamowany. Ludzie, którzy znali go osobiście, mawiali o nim, że „wyłgiwał się od poważnego stosunku do życia”, że „zmieniał przekonania właśnie z przekonania”. Wiele w tych twierdzeniach racji. Pozostał jednak jednym z najgłośniejszych dziennikarzy II Rzeczypospolitej i najostrzejszą szablą publicystyczną Narodowej Demokracji.

U progu niepodległości redagował i wydawał w Warszawie nieco szmatławy tygodnik „Liberum veto”. Tylko tytułem i osobą redaktora nawiązywało to pismo do tradycji krakowskiego periodyku z początku wieku. Warszawskie „Liberum veto”, choć formalnie „niezależne”, prowadziło agitację w duchu nacjonalistycznym, propagowało agresywny antysemityzm. Temu nurtowi pozostał Nowaczyński wierny przez całe dwudziestolecie. Współpracował z prasą obozu narodowego i pokrewnych ugrupowań politycznych, m.in. dziennikami: „Gazetą Warszawską” (1921–1922, 1924–1935), „ABC” (1927–1939), „Rzeczpospolitą” (1920–1925), „Kurierem Poznańskim” (1923, 1925, 1927, 1929, 1935–1938), tygodnikami i dwutygodnikami: „Myślą Narodową” (1921–1934) i „Prosto z mostu” (1935–1939). Zamieszczał felietony, recenzje i szkice krytyczne także w pismach o przeciwnej orientacji ideowej, m.in. w „Skamandrze” (1921), i „Wiadomościach Literackich” (1924, 1926–1929, 1931, 1923–1928). W charakterystyczny dla siebie sposób potrafił więc godzić ograniczenia publicystyki politycznej z postawą otwartego na świat intelektualisty.

Nowaczyński korzystał często z własnego archiwum – uporządkowanego zbioru wycinków gazetowych. Czerpał zeń materiał do wypowiedzi dziennikarskich i krytycznoliterackich. Była to wiedza typowo „gazetowa”, stąd nierzadkie błędy, nieścisłości, przeinaczenia, stąd także – w polemice adwersarzy – zarzuty niekompetencji, dyletanctwa. Autor *Wielkiego Fryderyka* był jednak na prasowym polu naprawdę groźnym przeciwnikiem, potrafił z życiorysów przeciwników wygrzebać ciemne karty, wytknął sprawy sprzed kilku czy nawet kilkunastu lat. O tym archiwum krążyły najróżniejsze wieści, właściciela ostrzegano, że może być na nie zamach.

Wszem i wobec oświadczał Nowaczyński, że z Narodową Demokracją łączy go wszystko: „Wiara, nadzieja i miłość. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość”. Głównym wątkiem jego publicystyki była typowa dla mafijnej interpretacji życia społecznego obsesja antysemicka. Jak cała prasa endecka traktował „krajowych cudzoziemców” nieufnie, wręcz wrogo; kusił czytelników „bezkompromisowym patriotyzmem”, przeciwnikom zarzucał nie dość ojczysty charakter. Zredagował dwa specjalne numery „Myśli Narodowej”, w całości poświęcone syjonizmowi, wydał kompilacyjny paszkwil antysemicki *Mocarstwo anonimowe*. Miotał się z powodu każdej inicjatywy asymilatorskiej, wyśmiewał maskaradę, jaką – jego zdaniem – była polonizacja Żydów, zmiany nazwisk, chrzty. Oburzał się, że np. „wnuk żydowskiej rodziny” Ignacy Rosner „ma czelność uczyć polskość”, pomstował na Emila Haeckera, gdyż „zamiast na łono Kościoła katolickiego, powinien trafić na szubienicę”. Nawet w felietonach teatralnych czy recenzjach nowych książek zajadłe tropił intrygi „światowego Żydostwa”. Jego zaślepienie czasem osiągało pułap absurdu: tylko z powodu semickiego pochodzenia szydził z Henryka Bergsona, Zygmunta Freuda, Alberta Einsteina, Marcela Prousta – tych rzekomo „wściekle przereklamowanych” „brukowych wielkości yellow press”; jeszcze latem 1939 r. uderzył na alarm z powodu zagrożenia polskość przez... „pansemityzm”.

Przekazywane przez Nowaczyńskiego treści, jak i publicystyka innych endeckich dziennikarzy spełniały podwójną rolę: strategiczną i taktyczną. Prócz propagandy „spiskowego” widzenia świata ważny był efekt doraźny – przyklejenie możliwie największej liczbie przeciwników żydowskiej czy „tylko” niepolskiej etykiety. Ten zabieg propagandowy odegrał ogromną rolę m.in. w wydarzeniach związanych z wyborem pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Warto zatrzymać się przy sprawie Gabriela Narutowicza. Zobaczymy tu, jak cel polityczny (dymisja elekta) i ideologiczny (walka o nacjonalistyczny rząd dusz) wsparte zostały publicystyczną sprawnością Nowaczyńskiego, bazującą na tropieniu spisków i demaskacji obcego rodowodu faktów i zjawisk politycznych czy społecznych. Zobaczymy też Nowaczyńskiego – człowieka awangardy, dla którego drugi szereg był zbyt oddalony od frontu. Na wybór Narutowicza zareagował artykułem *Elekcja*, niby nie bojowym, niby pełnym jedynie rezygnacji. Pisał:

„Smutek, otchłanny smutek i gorycz piołunowa zalewająca duszę po brzegi. Już się nie ma nienawiści do wrogów ni wyrozumiałości dla swoich, tylko żal, żal bezbrzeżny do wszystkich, do wszystkich za to, że z jednej strony tak biernie, ślepo, po słowiańsku, omal po rosyjsku nie sprzeciwiając się złu idą w jarmy triumfujących, nieposkromionych w swej radości Semitów i Askenazyn<sup>1</sup>, z drugiej strony odpór przeciw temu usuwaniu się w przepaść z bolszewizowania, z judaizowania Polski organizowany jest tak przypadkowo, odruchowo, nieobliczalnie, niestrategicznie”.

Z ironią „człowieka przegranego” mówił o „tym wybrańcu narodu”, który jechał składać przysięgę „przy takich samych owacjach stolicy, jak Skałon, Berg lub Paskiewicz-Erywański”.

Wszystkie wątki ówczesnej propagandy endeckiej skupiły się tu jak w soczewce: zagrożenie „judejskim imperializmem”, aluzja do obcego nad Polską panowania (tym razem mniejszości narodowych), zaś stwierdzenie nieudolności „narodowego odporu” faktycznie było wezwaniem do czynu. Znajdziemy tu także przewrotną kokieterię – w rzeczywistości swoją goryczą wlewał Nowaczyński nie piołun w serca, lecz oliwę w ogień. Jak inni endecy dziennikarze. Skutki wiadome... Bezpośrednio po strzałach w Zachęcie ostrzegał przed działalnością „krajowych radykalistów, eserów i mien-szewików”, która doprowadzi „do rewolucji, do zguby Polski”. Sytuacja niebezpiecznie się zmieniła, wzywał więc do pacyfikacji rozpalonych a wrogich endecji nastrojów, straszył powtórzeniem się scenariusza rosyjskiego nad Wisłą, zamachowca nazwał „szaleńcem”. Ale już w dwa tygodnie później, gdy spokój na ulicach został przywrócony, ogłosił Nowaczyński słynny artykuł – *Testament*. Inaugurował nim kampanię o moralną rehabilitację Eligiusza Niewiadomskiego, a pośrednio – i o to tu głównie chodziło – o ratowanie reputacji własnego obozu. Zaznaczał co prawda, iż mord był czynem nie

<sup>1</sup> Personalny atak przeciw Szymonowi Askenazemu za rzekome „nagłupianie” Piłsudskiego.

przebaczalnym, niczym nie usprawiedliwionym, lecz o mordercy wyrażał się już zupełnie inaczej. Niewiadomski: „Ani jednej uncji niepoczytalności, ani cienia fanatyzmu, a jeżeli coś z szaleństwa to z szaleństwa Reytanów; jakaś miłość ojczyzny w samotności udręczeń i przemyśleń istotnie wyolbrzymiona do szału [...], jakaś żarliwość [...] czysta, skroś piękna, szlachetna”. Znow więc dał w endeckie surmy, podkreślał przynależność do mniejszości, lecz mniejszości zdrowej, prawdziwie polskiej, „skroś pięknej”. Znajdziemy tu także ważny punkt z dekalogu nacjonalisty, z *Myśli nowoczesnego Polaka* – gotowość do ofiar w walce o narodowy charakter państwa.

Głoszenie takich poglądów na początku 1923 r. było rzykanctwem. Nowaczyńskiego dwukrotnie pobito, w końcu został aresztowany i zasiadł na ławie oskarżonych. Prokurator zarzucał mu „jaskrawe solidaryzowanie się ze zbrodnią”. Zapadł jednak wyrok uniewinniający: sąd nie uznał *Testamentu* za nadużycie gwarantowanej konstytucją wolności słowa.

Jak w wydarzeniach z przełomu 1922 i 1923 r., tak nie zamilkł Nowaczyński w innych ważnych dla obozu narodowego sytuacjach. Całe dwudziestolecie prowadził partyjną i prywatną wojnę z Józefem Piłsudskim i piłsudczykami. Kwestionował wszystkie pozytywy, które opinia publiczna przypisywała Marszałkowi, ośmieszał go jako polityka, stratega, mówcę, człowieka; nazywał „Bonaparstkiem”, „chorym psychicznie amatorem wojenek”, „Wielkim Golemem Asken-Azji”, „największym wodzem w Europie z domowym wykształceniem”. Mianował go też (rzekomo wypowiadając się na temat Ludwika Napoleona) „Juliuszem Cezarem dla starych panien, dorastającej młodzieży i analfabetów”.

W trosce o polską armię, w rzeczywistości o partyjny interes, wysyłał Nowaczyński Piłsudskiego na bezterminowy urlop, a gdy w 1923 r. Marszałek wycofał się do Sulejówka, pan Adolf poczytywał to za osobistą victorię. Jak zwykle przesadzał, miał jednak trochę racji. Świadczy o tym reakcja przeciwników: otrzymał wiele anonimów, grożących krwawą zemstą „za Dziadka”, w redakcji przestał nawet odbierać telefony. Również prasowi przeciwnicy nie dawali mu spokoju, toteż zmęczony ciągłą szermierką Nowaczyński wyjechał w 1924 r. na kilka miesięcy do Pragi. Przed wyjazdem ogłosił w „Myśli Narodowej” przewrotne *Pożegnanie*:

„Na wojnę z Moskalami się nie zanosi, toteż Piłsudski może zostać naczelnym wodzem. Przeze mnie. Niech mu tam Pan Bóg da zdrowie! I niech mi on moje maximae culpy przebaczy, tak jak ja mu wszystkie głupstwa dziś przebaczam”.

Walcząc z tradycją obozu belwederskiego atakował Nowaczyński aktywistyczną przeszłość jego działaczy. Strzelał zawsze z dużego kalibru nazywając ich „germanofilami”. Nie wdawał się w rozważania o motywach orientacyjnych, jego zdaniem kwestię tę rozstrzygnęła już historia. Zgodnie z endecką koncepcją polityki zagranicznej za głównego wroga Polski, *tempore belli* i powojennego uważał Niemcy. Dlatego z zajadłością wypominał przeciwnikom ich plany i nadzieje związane niegdyś z państwami centralnymi. Miało to

wzmocnić wiarę „narodowo” myślących czytelników, deprecjonować w ich oczach współczesne poczynania Piłsudskiego, PSL „Wyzwolenie”, PPS...

Bojów z Piłsudskim nie przerwał zamach 1926 r. Marszałka nazywał teraz Nowaczyński „dyktatusem” „Primo de Brigada”<sup>2</sup>, prominentów BBWR – „bebesynami”, a system pomajowy – „rządami Jekatieriny Sanacji”. Złośliwie i celnie szydził z apologetycznych wątków urzędowej propagandy, z polityki i postaw nowej elity władzy. Interweniowała cenzura, interweniował prokurator (1927 r. – proces o niesławienie Legionów zakończony wyrokiem skazującym). W 1927 r. trzech „nieznanych sprawców” wywoziło Nowaczyńskiego na wolskie glinianki i tam dotkliwie pobiło. Z konfrontacji silnej władzy państwowej z cherlawym opozycjonistą ten ostatni wyszedł w oplakany stan – omal nie postradał wzroku. Stracił uszkodzone w tym napadzie oko w 1931 r., gdy pobił go („za zniesławienie hymnu pierwszej brygady”) niejaki Tadeusz Rysalczyk, członek Legionu Młodych, absolwent Szkoły Nauk Politycznych... Jednak Nowaczyński wojował nadal – odwagi w życiu publicznym nigdy mu nie zabrakło, także wówczas, gdy głosił poglądy wśród nacjonalistów niepopularne (krótki flirt ze „Skamandrem” czy niekiedy ujawniany specyficzny sentyment do... Piłsudskiego).

Tezy jego artykułów z reguły były znamienne dla całej prasy endeckiej. Lecz często wyprzedzał wypowiedzi innych, w pewnym sensie je determinował. I to w sposób szczególny. Był przecież pisarzem. Choć postawa ideowa Nowaczyńskiego nie budziła w tym czasie żadnych wątpliwości, to jednak jego wypowiedzi prasowe były, tak czy inaczej, głosem przedstawiciela polskiej literatury. Klasyfikowano go przecież w ścisłej pisarskiej czołówce... Jego publicystyka miała większy rezonans społeczny od artykułów innych partyjnych żurnalistów. Oni byli „tylko” ludźmi polityki, on – człowiekiem ze świata sztuki.

Potrafił też Nowaczyński okrasić swą napastliwość talentem literackim, dbał o temperaturę wypowiedzi, o stylizację języka. Piętrzyły się w nim kalambury, neologizmy, określenia ostre i agresywne. Piotr Stasiński trafnie zauważył, że najwyrazistsze, choć powierzchowne świadectwo „dziennikarstwa emocjonalnego”, jakie uprawiał, to stylistyka jego tekstów. W wywodach Nowaczyńskiego „jakość (argumentu) przechodziła w ilość (przyczynków)”. Wspierający te przyczynki neologizm „był bronią publicystyczną”. Autor *Cezara i człowieka* chlubił się swą stylizacją, rozmaicie ocenianą przez innych. Nie roszcząc sobie pretensji do autorytatywnego sądu na jej temat odnotować wypada, że język i styl istotnie wyróżniają Nowaczyńskiego wśród najwybitniejszych publicystów dwudziestolecia. Proponuję małą degustację serwowanych przez pana Adolfa żurnalistycznych potraw.

Opis Sejmu w dniu elekcji Narutowicza:

„Tłoczy się tłum zapocony, to ziewający, to klnący, to się swarzący, to spędzany do sali, to pchający się do bufetu, z bufetu do klozetu, z klozetu do sali, do sali, co ma w sobie coś z kintopu, a coś z bożnicy w sądny dzień,

<sup>2</sup> Skojarzenie z hiszpańskim dyktatorem Primo de Rivera i oczywiście z I Brygadą.

rozjarzona, duszna smrodem z czosnku, z niedomytych odnóży i z egzaltacji partyjnej przesycona. Nowoczesność! Demokracja! 555!”

Dyskusja z posłem Janem Brylem:

„Indywiduum Bryl [...] stanowczo lepiej by się wydał, brylując w jakiejś karczmie »co Rzym się nazywa« i tam grzejąc się po mordach z parobkami niż jako suweren i pracodawca w europejskiej stolicy”.

W podobnym tonie o Leo Belmoncie, Jarosławie Iwaszkiewicz, „generale Barszczu Bandrowskim” i innych. Nieważne były argumenty merytoryczne — ważne natomiast: wartki potok kalamburów i pewność siebie:

„Panie towarzyszu koszerny Moraczewski, nie podoba się panu mój język? A diabli panu każą gustować w moim języku! A znasz »kapitan na bacność« język Szekspira? A powąchałeś, politykastro sejmikowy, chudopacholę intelektualne, domorosły mężu stanu, kiedy język Leona Daudeta?<sup>3</sup> Po mnie pozostanie mój język, taki lub owaki, ale mój, najmocniej mój i 25 tomów! A kiedy zemrę, regularnie lub przypadkowo, to w 10 lat odżyję. [...] A po jegomościu co zostanie? Pamięć i zaduch bałaganu, po którym i za jaki dziś jeszcze wszyscy cierpimy”.

Tak przyrządzone dania strawne dla przeciwników być nie mogły, ale nie o nich chodziło — smakować miały swoim. Wszystkie niemal teksty Nowaczyńskiego opierały się na założeniu, że czytelnik też jest wyznawcą „nacjonalistycznej religii”, publicystyczna ekspresja miała tę wiarę jedynie wzmocnić. Nie było tu miejsca na chłodną refleksję ani — tym bardziej — na nieretoryczny pytanki. Taka formuła wykluczała przekonanie odbiorców nie przekonanych *a priori*, mogła natomiast ich prowokować (niejednokrotnie rzeczywiście prowokowała). Jej funkcjonowanie — i prosperowanie — może dziś zastanawiać także z tego powodu, że publicystyka Nowaczyńskiego bynajmniej nie była adresowana do umysłowych miernot — *vide* ambicje kulturalne i artystyczne „Prosto z mostu” czy „Myśli Narodowej” (po 1925).

Okres międzywojenny to w dziejach polskiej kultury m.in. czas kształtowania się i stabilizacji prasowych zwyczajów, polemicznych reguł gry. Eksperymenty w tej dziedzinie przyplacił Nowaczyński utratą oka, procesami sądowymi i raczej go satysfakcjonującą reputacją skandalisty. Nawet przez polemicznych antagonistów nie został jednak skazany na towarzyski ostracyzm, na infamię; np. w 1928 r. m.in. Emil Haecker i Antoni Beaupré, tylekroć zelżeni w jego felietonach, przyznali mu nagrodę literacką. Ostateczny bilans gry Nowaczyńskiego był chyba dodatni, skoro jako pisarz i publicysta funkcjonował w życiu publicznym i salonowym po kres Drugiej Niepodległości.

Pamiętnikarze i naukowcy czasem zastanawiali się, dlaczego Nowaczyński znalazł się na nacjonalistycznej prawicy. Stanisław Stroński uważa, że wybór ten zdeterminowała działalność w I wojnie światowej i zamęt u narodzin niepodległości, Kazimierz Czachowski twierdzi, „iż do endecji trafił Nowaczyński przypadkiem”. Jan Zadeykański — że zaprowadziły go tam nie wyznawane

<sup>3</sup> Założyciel i redaktor „Action Française”, Nowaczyński uważał go za swego mistrza.



poglądy, a temperament paszkwilanta, Maria Czanerle powiada, że prywatnie pan Adolf „w ogóle nie interesował się polityką” (!). Istnieje wiele przesłanek, by uznać, że Nowaczyński instrumentalnie traktował publicystykę, że uważał ją — po satyrach i dramatach — za kolejny etap ekspresji twórczej, za wdzięczne pole do eksperymentów kulturalnych i literackich. Nie przeszkadzało mu to pić kawę z Mieczysławem Grydzewskim czy Wojciechem Stpiczyńskim. Właśnie Grydzewski określił później prasowe bijatyki skamandrytów z Nowaczyńskim jako „burzliwe dzieje pewnej przyjaźni”, Antoni Słonimski wspominał Adolfa (byli „na ty”) z dużym sentymentem. Czy można zatem serio traktować międzywojenną publicystykę Nowaczyńskiego? Tak, bo niezależnie od faktycznych intencji jej autora miała ona znaczny rezonans społeczny, była odważna, nie uległa się gróźb, procesów, pięści. Eksponowała sowizdrzalsko-błazeńską naturę Nowaczyńskiego, jego kult barwy stylu pióra i życia, umiłowanie nie tylko literackiego kalamburu. Publicystyka ta — być może — miała również maskować zagubienie, ideową bezradność starej daty inteligenta wobec trudnej egzystencji młodego państwa.

A. Hutnikiewicz, *Adolf Nowaczyński*, [w:] *Obraz literatury polskiej. Literatura okresu Młodej Polski*, t. II, Warszawa 1967; P. Stasiński, *Poetyka i pragmatyka felietonu*, Wrocław 1982.